

**Rumowiska**  
Wit Szostak

Copyright © 2023 by Wit Szostak  
Copyright © 2023 by Powergraph  
Copyright © 2023 for the cover and endpapers by Ula Pagowska  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktorka prowadząca: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Maciej Robert  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: MAWART Marek Włodarz  
Okładka i wyklejka: Ula Pagowska  
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik  
Źródło ilustracji: Lumezia (by iStock)

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel. 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl)  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA

**ISBN 978-83-67845-16-8**

Printed in Poland, EU

*Grupie Wiślańskiej – z przyjaźnią*

Środowiskami tymi są stare mieszkania, przesycone emanacjami wielu  
życiów i zdarzeń – zużyte atmosfery, bogate w specyficzne ingrediencje  
marzeń ludzkich – rumowiska, obfitujące w humus wspomnień, tęsknot,  
jałowej nudy.

Bruno Schulz, *Traktat o manekinach. Dokończenie*



Żal, że powieść można zacząć tylko raz. Drugie zdanie zawsze będzie drugie. Trzecie będzie trzecie. Łatwo zmarnować pierwsze zdanie, ale przecież opowieść jest ciągłym zaczynaniem od nowa. Wchodzeniem raz po raz do tej samej rzeki, która niesie swoim nurtem przedmioty i osadzające się wokół kostek, i niepozwalające uciec wodorosty. Każda nowa postać to nowy początek, każde zdarzenie to szansa, by zacząć od nowa. Do powieści spływa woda z wielu źródeł, łączą się nurty wielu bezimiennych strumieni. Tyrania pierwszych i ostatnich zdań, chronologia numerowanych białych stron pozwalają pielęgnować iluzję, że powieść jest linią, drogą bez rozgałęzień. Naprawdę?

Źródło czwarte  
Już go nie ma.

Źródło siódme  
Dziadek Tomasz zaaranżował swoją śmierć w najdrobniejszych szczegółach. W szufladzie jego biurka, o czym od lat poinformowani byli najbliżsi członkowie rodziny, spoczywała czerwona teczka na gumkę, którą raz chciałem nawet wykraść, podmienić na białą, wiążaną, lecz babcia w porę powstrzymała mnie przed tym świętokradztwem. Spoczywała jest dobrym słowem.

Drewniana szuflada, górna po lewej stronie, otwierająca się z opornym skrzypieniem, była zupełnie pusta, z wyjątkiem tej teczki. We wszystkich innych pełno było kartek, karteluszek, fiszek, spinaczy, szeleszczących celofanów po chińskich, różowych i pachnących gumkach do mazania, strużyn z ołówków i poplamionych atramentem bibułek do osuszania rękopisów. Ta była głęboką, pustą skrzynią, na dnie której znajdowała się tylko ta jedna, karminowa teczka, jak w grobie. W teczce były ostateczne dyspozycje, spisane kaligraficznym przedwojennym pismem mego dziadka, które z wiekiem stawało się coraz bardziej drżące, aż zamaszyste niegdyś litery zmieniły się w grupki wylekniionych ludzi, stłoczonych po kilka, kilkanaście osób, jakby w oczekiwaniu na niewiadome, lecz spodziewane zło. Górne i dolne krawędzie brzuszków liter, niegdyś smukłe i wysklepione, lecz nadal krągłe, teraz załamywały się niby gotyckim łukiem, jakby oddawały rytm i monotonię drżenia dłoni. Pismo dziadka przypominało wykres pracy serca, czule powtarzając na papierze skurcze i rozkurcze piszącego. Pamiętam, jak próbował powstrzymać trzęsące się palce, nakrywając piszącą dłoń drugą, która tłumiła amplitudy drgań, choć przypominała raczej wstydlive przysłonięcie tego, co chcemy ukryć, jakby dziadek chował na wierzchu ręki więzienny tatuaż czy paskudną bliznę o poszarpanych brzegach. Zdrowa dłoń czule gładziła tę chorą, jakby chciała dodać jej otuchy, pocieszyć – i tak obie prowadziły pióro, starego zielonego pelikana, którego zazdrościłem dziadkowi tak dalece, że raz zapytałem nawet, czy mogę go dostać po jego śmierci. Opowiadał to potem jak pyszną anegdotę, za każdym razem wywołując mnie przy rodzinnych obiadach, imieninowych podwieczorkach, a ja stałem, zawstydzony, skupiając spojrzenia rozbawionych dorosłych, podczas gdy wielki starzec zabawiał krewnych i znajomych tą z każdym powtórzeniem coraz bardziej upokarzającą

historią. Zapamiętałem ją w jego słowach, nawet teraz słyszę tę intonację, zagadnięcia, retoryczne zwroty, choć zapewne sama scena przebiegła dużo skromniej, mimowolnie, gdy podczas rozmowy dziecku wypsną się nieopatrznie słowa, zazwyczaj ginące w niepamięci, a które tylko dorośli potrafią wyłowić i ośmieszyć. W relacji dziadka niemal prosiłem o audiencję, potem miałem długo milczeć, zawstydzony swą bezczelnością, aż wreszcie, purpurowy i blade zarazem, wydukałem ciche żądanie zapisu windykacyjnego. Zabrał mi to wspomnienie, przejął i zakleszczył we własnych słowach, obudował swoim śmiechem i głosem, znam je tylko w tej formie, dykteryjki przy koniaku, niezobowiązującego interludium rodzinnych spektakli. Zaplanował swoją śmierć w najdrobniejszych szczegółach, które zmieniał i poprawiał, aż ostateczna forma wytycznych zza grobu spoczęła w karminowej teczce, by czekać w mroku szuflady na swój czas. Rzecz ciekawa, dziadek przez śmierć rozumiał nie sam akt swego odejścia ani nawet trudny do przewidzenia i usystematyzowania proces umierania, który do tego punktu miał prowadzić, lecz posługiwał się tym słowem na określenie wszystkich ceremonii i czynności dotyczących jego ciała, o którym uparcie mówił jako o osobie, aż do chwili złożenia trumny do grobu. Nie płacicie zbyt długo, zaczął swoje dyspozycje, uzasadniając skrupulatne polecenia nie pychą ani nawet przeniesioną w zaświaty miłością własną, która musiałaby dopalić się w te kilka dni od zgonu, niejako przeżywając samego dziadka, lecz potrzebą zaradzenia rozpadowi i chaosowi, jakie niewątpliwie zapanują w chwili jego śmierci. Były to zatem nie tyle polecenia i rozkazy, wzmacnione pieczęcią ostatniej woli zmarłego, ile dobrotliwe rady, które miały pozwolić rozsypującej się rodzinie pozostać w formie i zmobilizować się, by sprawnie przejść przez ten najeżony trudnościami okres. Zamiast bowiem oddawać się żalobie,

bliscy muszą stawić czoło twardej rzeczywistości przepisów i wymagań, atakujących rodziny zmarłych na frontach świeckim i kościelnym, i to z przymusem podejmowania wielu decyzji, często po raz pierwszy w życiu, bez wprawy, na nieznanym terenie, w ciągłych wątpliwościach, czy aby takie, a nie inne rozstrzygnięcie podobałoby się zmarłemu. Dziadek widział swoją śmierć jako kosmiczną katastrofę, wprawiającą w dygot osierocony tłum, który mógłby zostać powstrzymany od ostatecznej klęski tylko przez mocny głos zza grobu. Dyspozycje zatem dotyczyły nie tylko kształtu i rodzaju trumny (świerkowa), ostatniego garnituru (czarny, wełniany, dwurzędowy), dodatków (półbuty z przeszzytymi noskami, bordowy krawat, spinki z bursztynem, zegarka brak), wyboru czytań i pieśni, kwiatów na wieńce, sugestii co do sukni i kapelusza dla wdowy (w wersji zimowej i letniej), lecz także rozdysponowywały formalności do załatwienia, uwzględniając charaktery, możliwości i ograniczenia osób w nie zaangażowanych. Cmentarz i kamieniarze – Judyta, kostnica – Henryk, kancelaria Sejmu – Karol, proboszcz – Judyta, i tak dalej.

Już go nie ma. Kiedy opuściło rodzinę, wszyscy odetchnęli z ulgą. Nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale wszyscy patrzyli na siebie radośniej, jakby uwolniono wielki ciężar, balast, który spowalniał ruchy i wstrzymywał istotne procesy życiowe. Trudno wskazać jakieś konkretne zło, które się z nim wiązało. To raczej niejasne przecucia, przepływy i kumulacje niepokojów, splecione linie napięć, tajone przecieki małych, niewidzialnych przemocy. Każdy, kto się z nim związał, szybko zaczynał proces wyobcowania, zostawiania go za sobą. Byle dalej. Ale to już koniec. Zostało sprzedane i teraz są tam apartamenty gościnne dla wszystkich, którzy zechcą zapłacić. Czasami bawie się myślą, czy nie zarezerwować tego mieszkania na



jedną noc i spędzić ją w nim jak turysta, nieuważnie i bez zobowiązań. Zabawa ma sens, dopóki myśl się nie ziści. Dlatego odwlekam ją na odległość ciosu.

Może myślenie zaczyna się nad morzem. Bezkrę uderzający monotonnie o brzeg, wprowadzający w trans swoją powtarzalnością, zaprasza myśl w okolice nieskończoności. Za to opowieści na pewno zaczynają się nad rzeką. Rzeka płynie. To banał, jak większość opowieści. Siedzący nad brzegiem jednak wie, że woda skądś przybywa i dokądś uchodzi. Przybywanie i uchodzenie, początek i kres pogrążone w tajemnicy, gdzieś za zakrętem, za horyzontem. Jedni wyruszają z prądem, ku morzu. Ciągłe w dół, mijając zakręty, wodospady, progi. Nurt ich niesie, opowieść staje się coraz szersza, epika wypływa na równiny. Inni wędrują ku źródłom. Ci pierwsi płyną, ci drudzy raczej idą brzegiem, czasem na długi czas tracąc rzekę z oczu. Znika za drzewami i załomami skał, jej spiętrzony nurt pomrukuje, wędrowcy wspinają się, kierując się słuchem. Wody jest coraz mniej, ale jest coraz żywsza. Co to znaczy? Prąd jest szybszy? Czy może jest w niej więcej życia? Rzeka zmienia się w strumień, pokazuje, czym była wcześniej, prowadzi do początku, gdzie znika pod skałami.

Źródło drugie

### Źródło ósme

Chłopiec nie może zasnąć. Brat na łóżku poniżej oddycha spokojnie, przez miodową szybę w drzwiach sący się ciepłe światło z przedpokoju. W mieszkaniu w bloku wszystko jest ciasne, każdy kąt wykorzystany. Nie ma pustych przestrzeni pomiędzy meblami i ciemnych nisz pod starymi szafami. Płyty meblowe zabudowują każdą ścianę, pod sufitem piętrzą się pawlacze, wszystko ma swoje miejsce. Nocą miejsce chłopca jest w łóżku. Miejsce rodziców w pokoju nazywanym, z braku lepszego określenia, dużym, gdzie siedząc naprzeciw siebie, jedzą dorosłą kolację, piją mocną herbatę i rozmawiają o codziennych sprawach. Po latach dowie się, że rozmawiali o dzieciach, przywoływali ich słowa i zdarzenia z mijającego dnia, by zatrzymać je w pamięci. Po latach zrozumie, że najbardziej kochający są rodzice śpiących dzieci. Chłopiec wie, że za ścianą toczy się dorosłe życie. Kiedy wstaje z łóżka i skrada się do dużego pokoju, by powiedzieć, że nie może usnąć, nie wie, czego oczekuje. Rodzice przytulają go, proponują szklankę ciepłego mleka, ale chcą, by jak najszybciej wrócił do siebie. Bo jutro jest szkoła, trzeba rano wstać, a już późno. Chłopiec siedzi na wersalce i patrzy na pokój, jakby widział go po raz pierwszy. O tej porze to zupełnie inna przestrzeń, zaciemniona i skupiona, niewypełniona dziecięcymi głosami. Poduszki foteli są na swoim miejscu, koce starannie złożone w kostkę, szachy schowane do kasetki. Zmiany nie są wielkie. Ale chłopiec wyczuwa, że w te wieczorne godziny to jest inny świat, który do niego nie należy. Nie jest tu u siebie, a jednocześnie bardzo chciałby być. Rodzice podejrzewają, że chce ukradkiem podejrzeć akcję filmu, który wyciszony rozgrywa się nadal w małym czarno-białym telewizorze; że chciałby spróbować

rozstawionych na stole pikli, które rzadko podawane są dzieciom. Ale to nieprawda. Chłopiec chce przez chwilę przenieść się w ten inny wymiar, który otwiera się w jego domu w czasie, gdy przed spaniem zamyka drzwi do własnego pokoju, jakby słowo dobranoc było rzeczywiście magiczne. Tak czuli na szczegóły dnia rodzice, po zmroku dostrzegający sens wydarzeń, w których brał udział przed zaśnięciem, tu okazują się kompletnie ślepi. Jest intruzem w ich świecie, gdzie rozmawia się czule o dzieciach. Zrozumieliby go tylko wtedy, gdyby na chwilę też stali się dziećmi, którymi byli trzydzieści lat wcześniej. Chłopiec dostaje szklankę ciepłego mleka, ociera białe wąsy, mocno przytula się do rodziców i wędruje z powrotem. Nie uśnie od razu. Jeszcze długo będzie sobie wyobrażał ten magiczny świat, w którym odwiedził przed chwilą mamę i tatę.

Jedni i drudzy nigdy się nie spotkają. Źródła i morze leżą daleko od siebie. Chyba że nie wyruszali z jednego punktu. Kiedy zstępujący zaczynał w górze, a wstępujący w dole, ich drogi mogą się przeciąć. Ale jeśli jeden trzyma się brzegów, a drugi wiosłuje nurtem, mogą się minąć zupełnie niezauważenie. Chyba że zrzędzeniem losu ich spojrzenia na chwilę się przetną. Kiedy to nastąpi, zobaczą tylko wzajemne oddalanie się.

Jednak imperium dziadka rozpadło się wraz z jego zgonem i jego śmierć musiała zostać zorganizowana wedle nowego scenariusza, który pisało życie. Czarny dwurzędowy garnitur, ostatni raz użyty podczas pogrzebu księdza Jerzego Popiełuszki lub zaprzysiężenia Sejmu kontraktowego (tu zdania były podzielone), zjadły mole i choć miał służyć tylko okryciu zwłok, które nie miały być publicznie wystawione, to babcia postanowiła, że w takim dziadowskim ubraniu nie można Tomasza pochować,

i wybrała letni, jasnopopielaty, który jej zdaniem wyglądał najbardziej świeżo. Pasował też do letniej pory, gdy upał lał się z nieba, a wszyscy spędzali czas na wakacyjnych wyjazdach, skąd wracali pośpiesznie, ściągani telefonami i telegramami, stawiając się jednak w Krakowie w czasie utrudniającym już zajęcie się sprawami zleconymi przez zmarłego. Wujek Henryk dotarł na sam pogrzeb, nie mógł być zatem w kostnicy, zresztą kostnica w ogóle nie wchodziła w grę, gdyż wszystkie miejsca w szpitalnych chłodniach były, by tak rzec, zajęte, a to z powodu wywołanej upałami fali zawałów u osób starszych. Był to czas przełomu, kiedy powstawały dopiero pierwsze komercyjne zakłady pogrzebowe i branża ostatniego pochówku raczkowała, zwłaszcza w okresie urlopowym, zwłaszcza w niedziele i święta. A dziadek zmarł w rocznicę Cudu nad Wisłą, lepszej daty nie mógł sobie wymarzyć, choć owego lata manifestacje upamiętniające tę odległą dla Krakowa bitwę spowodowały pewne komplikacje natury transportowej. W swoich dyspozycjach dziadek musiał balansować między egoistyczną troską o podniosłość swych własnych egzekwii a skromnością, która nie pozwalała mu żądać wprost pogrzebu państwowego, obecności władz i kompanii honorowej. Czytane po latach, stanowią świadectwo tej heroicznej, ostatniej walki wielkiego starca. Brak wolnej chłodni jawił się w sierpniu dramatycznie, nie pomogły uruchomione znajomości, a pociąganie za sznurki doprowadziło jedynie do oferty ze szpitala w Makowie Podhalańskim, jednak na taką nieplanowaną peregrynację zwłok babcia wdowa, wspierana przez rodzinę, nie wyraziła zgody. Udało się natomiast załatwić zgodę na ulokowanie zamkniętej trumny wprost na katafalku w kaplicy cmentarnej na Salwatorze, gdzie miał się odbyć pogrzeb dziadka, co nie było chyba do końca legalne, ale nadzieja kościelnego chłodu zwyciężyła nad skrupułami. W pamięci rodzinnej odnotowano, że

cudotwórczynią była Judyta, córka Tomasza, na co dzień moja matka, co było poniekąd zgodne z przygotowanym wcześniej scenariuszem. Pozostawała kwestia transportu zwłok, gdyż po wyczerpaniu legalnych możliwości wszyscy zgodzili się, że priorytetem jest czas. Sprawę trzeba było załatwić możliwie dyskretnie, angażowanie w to osób zupełnie obcych, nawet gotowych, za stosowną opłatą, do świadczenia tej niecodziennej usługi, mogłoby się zemścić po latach, gdyby tajemnica przewozu się wydała i nazwisko dziadka wypłynęłoby w tej, jakże atrakcyjnej dla prasy, anegdocie. Po krótkiej naradzie starszyny wybór padł na pana Kazimierza z oficyny, którego nazwiska wprawdzie nikt nie pamiętał, lecz który zawdzięczał dziadkowi to i owo. Był problem, dziadek użył wpływów, problem zniknął, pozostała wdzięczność i teraz rodzina o tę wdzięczność się upomniała. Pan Kazimierz próbował sobie dzielnie radzić z transformacją, rozkręcając niewielki biznes w sektorze handlu obwoźnego. Nabył po nader okazyjnej cenie hurtową liczbę sedesów i umywalek z plątującej fabryki ceramiki sanitarnej z drugiego końca Polski. Przemysł pada, a ludzie srają i srać będą, powtarzał swoje motto, które zastąpiło cały biznesplan. Niemałym wysiłkiem i nakładem kosztów przetransportował kruchy towar do podkrakowskiej stodoły, w której ze szwagrem urządzili prowizoryczny magazyn. I od kilku miesięcy jeździł po okolicy, zataczając coraz szersze kręgi, by na jarmarkach i placach targowych prosto z paki swojego tabaczkowego żuka sprzedawać sanitariaty po nadal okazyjnej, acz powiększonej o znaczącą marżę cenie. Interes kwitł, a ponieważ dziadek Tomasz miał swój istotny, choć nie do końca znany rodzinie, udział w tym sukcesie, wdzięczność pana Kazimierza rosła. Nie był jednak szczęśliwy, kiedy zaproponowano mu w formie niezbyt zręcznego ultimatum, by od razu, bez żadnych przygotowań, przewiózł trumnę z dziadkiem Tomaszem

na salwatorski cmentarz. Podnosił w krótkiej dyskusji głównie wątpliwości natury prawnej, lecz ostatecznie został przekonany. Ryzykowałby o wiele bardziej, mówiono mu, gdyby pracował w branży spożywczej, wówczas bowiem do nielegalnego przewozu zwłok doszłoby złamanie istotnych przepisów sanitarnych. To uspokoiło pana Kazimierza.

Nie trzeba dodawać, że rodzice zapamiętali tę chwilę zupełnie inaczej niż chłopiec. A może jednak nie?

Niektóre początki nie mają kontynuacji. Co się dzieje z rzeką, która znajdzie swój kres dużo wcześniej niż u morskich wybrzeży?

Jestem ostatnim, który mieszkał w tamtym domu. Nikt inny już nie żyje. Ich wspomnienia, dużo bogatsze od moich, znikły. Zamieszkiwali na Sarego przez lata. Wypełniali tę przestrzeń sobą, nasycali swoim życiem, wnikali w rzeczy. Użytkowali meble, przedmioty. Wysiedziane fotele, odłamane drzazgi, zarysowane szyby, wgłębienia w ścianach – to najbardziej widoczne ślady po nich, te, które potrafi przejąć i przechować materia. Ale przecież od tych przypadkowych uszkodzeń, naturalnego zużywania się sprzętów dom wypełniały ich rozmowy i milczenia, dramaty, trzaskania drzwiami i napięcia, które przetaczały

się pod sufitami jak fronty baryczne. Dziesiątki lat, kolejne malowania i remonty, przemeblowania, migracje między pomieszczeniami, pojawianie się nowych domowników i znikanie starych. To wszystko pozostało w tych ścianach, ale ściany nie potrafią opowiadać. Nie wysłuchują szeptów, nie zapisują historii. Może uważny archeolog terazniejszości potrafiłby powiedzieć, kim byli ci ludzie. Ale oni przepadli. A wraz z nimi poszły na dno rodzinne historie, ich interpretacje, ich iteracje, nieuniknione przetworzenia fabuł.

Dalsze wypadki potoczyły się szybko. Zaparkowany w pobliżu tabaczkowy żuk podjechał najdyskretniej jak to tylko możliwe pod klatkę schodową od strony podwórka. Nie było to zgodne z dyspozycjami dziadka, który wyobrażał sobie, że jego trumna zostanie z honorami zniesiona głównymi schodami, na tyle szerokimi, by uniknąć niezręcznego balansowania na zakrętach. Zamiast tego, zgromadzeni w domu śmierci wujowie musieli manewrować na znacznie węższych schodach kuchennych, kilkakrotnie uszkadzając tynk i omal nie wybijając niewielkiego okienka na półpiętrze. Byłem cichym świadkiem tej tajnej operacji, pojmując wówczas głęboki sens sformułowania „nogami do przodu”. Eksporcje towarzyszył chłodny lament babci, dochodzący z góry i słabnący z każdym zabiegiem schodów: Uważajcie na ściany! Wreszcie trumna została złożona w blaszanym wnętrzu żuka pana Kazimierza. Z przodu obok kierowcy usiadł wuj Leon, daleki kuzyn zmarłego, a na pace, przy trumnie, przycupnął Karol, zięć dziadka Tomasza, na co dzień mój ojciec. Nie powinienem może ujawniać, że przysiadł na jednym z wielu należących do pana Kazimierza sedesów, na szczęście jedynym, który pozostał w samochodzie. Resztę wypakowano w trybie pilnym w kącie podwórka, gdzie utworzyły niecodzienną grupę,

rozświetlającą swą bielą mrok kamienicznej studni. Żuk ruszył, a w tym samym czasie na najbliższy przystanek udali się, wyposażeni w szczegółowe informacje komunikacyjne, wujowie z Otwocka, którzy jako pierwsi stawili się w domu na Sarego. Sami zgłosili się do pomocy przy wypakowaniu trumny i przeniesieniu jej do kaplicy, oni też pomagali na kuchennych schodach. Żuk ruszył w stronę ulicy św. Gertrudy, wówczas jeszcze Ludwika Waryńskiego – wszystko było w transformacji, zakład produkcji tablic adresowych nie nadał za zmianami miejskich symboli – a następnie skręcił w lewo, w stronę Wawelu. Jednak już pod hotelem Royal musiał zwolnić i ostatecznie zahamować, gdyż potężna manifestacja blokowała skręt w św. Idziego. Żuk stanął, pan Kazimierz zrobił się nerwowy, zwłaszcza kiedy do jego szoferki podeszło dwóch policjantów, by poinformować o trudnościach z przejazdem. Niezborne zachowanie pana Kazimierza obudziło w policjantach milicyjne nawyki i poprosili go o dokumenty. Pan Kazimierz chciał uciekać, został jednak powstrzymany i zapytany o zawartość paki. Tu włączył się wuj Leon, który postanowił zaszokować funkcjonariuszy prawdą i wypalił, że wiozą na miejsce wiecznego spoczynku posła na sejm, co składniowo nie wypadło wprawdzie zbyt zgrabnie, ale zrobiło odpowiednie wrażenie. Policjanci podeszli do tyłu wozu i kazali otworzyć drzwi od bagażnika. Nie kryli zaskoczenia, kiedy pośrodku blaszanej puszki w istocie leżała trumna. Wtedy zostali zaatakowani z jednej strony przez mojego ojca, który uprzejmie ze swego sedesu pokazał legitymację dziennikarską „Gazety Wyborczej”, nie wprost powołując się na stojącą za sobą wciąż rosnącą potęgę czwartej władzy wolnych mediów, z drugiej zaś przez wuja Leona, który w tym samym czasie zdołał wytaszczyć swoje wielorybie cielsko z szoferki i machał, wachlując się nim jednocześnie, przytomnie zabranym w ostatniej chwili



zdjęciem wyborczym, na którym dziadek Tomasz stoi pod szyldem Solidarności obok Lecha Wałęsy. Możemy otworzyć trumnę, wołał Leon, znów epatując prawdą. Policjanci wycofali się, oddali dokumenty mokremu od potu panu Kazimierzowi, przeprasząc za brak możliwości skrętu w stronę Podzamcza. W tym czasie gęstniejący tłum skandował: Marszałku! Marszałku!, usiłując, jak się później dowiedziałem, przywołać do hotelowego okna domniemanego nieślubnego syna Józefa Piłsudskiego, który to syn przyjechał do Polski w mundurze weterana armii brytyjskiej, podając się za potomka Naczelnika, co podkreślał niedwuznacznie obfity siwy wąs, tak dobrze znany z ikonografii. I choć córki Piłsudskiego zdecydowanie odcięły się od rzekomego przyrodniego brata, to uzurpator robił od lat niejaką karierę w kręgach emigracyjnych, ożywiając narodowe ceremonie na wychodźstwie. Tamtego dnia wziął udział w uroczystościach pod pomnikiem Władysława Jagiełły na placu Matejki, skąd, wedle plotki, udał się limuzyną do apartamentu w hotelu Royal, a stamtąd zamierzał, znów wedle plotki, udać się na grób swego ojca do katedry. Tłum złańniony Polski widział w wąsatym weteranie inkarnację narodowego bohatera, tak dalece chcąc wierzyć w żywą obecność samego Piłsudskiego, że wywoływał gościa histerycznym skandowaniem. Zgromadzenie filmowały zagraniczne telewizje i zupełnie niewykluczone, że tamtego dnia w serwisach informacyjnych pojawił się w krótkim materiale z demonstracji także tabaczkowy żuk pana Kazimierza, a zatem, choć bardzo pośrednio, również mój dziadek Tomasz. Byłby to jego ostatni telewizyjny występ, nie licząc krótkiej migawki z pogrzebu w „Kronice Krakowskiej”, serwisie informacyjnym lokalnego oddziału telewizji. Pan Kazimierz zawrócił, łamiąc przepisy, na ulicy św. Gertrudy, skręcił w św. Sebastiana, mijając Muzeum Przyrodnicze, gdzie znajduje się jedyny na

świecie kompletny okaz pochodzącego z plejstocenu nosorożca włochatego, *Coelodonta antiquitatis*, zresztą kompletnie pozbawiony sierści, po czym skręcił w Dietla i nieniekajony już przez służby porządkowe, pomknął na Salwator, zmuszony do dwukrotnego przekraczania Wisły. U bram cmentarza czekali już wujowie z Otwocka, trumnę przeniesiono do kaplicy, nie było czuwania przy zwłokach, pogrzeb odbył się według scenariusza, choć bez salwy honorowej. Dziadek spoczął w rodzinnym grobowcu. Prowadzący do niego labirynt skrętów między grobami znaleźmy od lat.

Pojawiam się, kiedy wszystko znika, kiedy implozje opowieści już się dokonały i nie ma żadnych sił poza wyobraźnią, by ten proces odwrócić. Ale co może wyobraźnia, czym się karmi, na czym wzrasta? Czy nie jest ciągłym wypowiadaniem siebie, snuciem domysłów, które są tylko rozwijaniem pawiego ogona, tym bardziej żenującym, że dokonywanym przed lustrem, w gabinecie luster; puszenie się jest pychą, puch rozpycha się we wnętrzu. A może nie można inaczej? Może tylko śmierć i precyzyjna sekcja rozpadu pozwalają dotrzeć do sedna opowieści? Może opowieści muszą uwolnić się od swych źródeł, porzucić krystalicznie czyste strugi, popłynąć z prądem, zabrudzić dopływami, zatruć industrialnymi spustami? Może musimy pływać w mętnych, leniwych wodach? Czy trzeba wybierać? Czy nie można być jednocześnie u źródeł i u ujścia? Śmierć daje szansę na ponowne narodziny opowieści. Gdyż śmierć jest rozpadem.

Rzeka nie płynie wprost do swego ujścia. Nie jest linią prostą, która zsuwa się z gór do morza. Szuka, kluczy, przedziera się między wzgórzami. Wije się raczej jak wąż. Optywa przeszkody nie do pokonania. Tworzy wyspy,

zakola, czasem rozlewa się szeroko po równinie. Po drodze spotyka inne rzeki, więc trudno powiedzieć, czyje wody docierają do kresu. Ma wiele początków, bo początkiem jest każde małe źródło, które tryska w jej dorzeczu. I czasem ma wiele zakończeń, jeśli tworzy rozległą deltę. Zostawia za sobą meandry i starorzecza, miejsca, gdzie niegdyś płynęła. Czy odcięte przed laty nadal stanowią jej część? Czy przechowują pamięć po niej? Samotne, porzucone gąsienice, w których woda przestała płynąć. Zarastające sitowiem i tatarakiem, sąsiadujące tylko z głównym nurtem. Przez miedzę.

Kiedy to piszę, nadciąga zmierzch wiosenny, widać jego ruch w cieniach świerków, które wydłużają się, nakrywając zieleń polany. Jest niemal cicho, Beskid milczy, drwale skończyli wycinkę i można wsłuchać się w ostatnie wieczorne ptaki. Szemrze strumień. Siedzę przed oknem, na sobie mam kurtkę i gruby koc, bo w pokoju jest zimno. Drewno w piecu spala się zbyt szybko, by ogrzać wyziębione zimą pomieszczenie. Stara góralska chałupa poświstuje wszystkimi szczelinami, słyszę myszy w ścianach i wyobrażam sobie ich ukryte korytarze, królestwo niewidoczne dla ludzkich oczu. To one mieszkają tu naprawdę, ja jestem nielegalnie, klucz był pod wycieraczką, nie znam ludzi, do których ten dom należy. Po warstwie kurzu widzę, że bywają tu rzadko, na pewno nie przyjechali tej zimy, może śnieg był za wysoki, a od stacji w Rajczy idzie się tu przez góry niemal godzinę. Kilka godzin przez śnieg po pas. Pewnie byli w lecie, na stole są ulotki z sierpniowego festynu, może przyjadą w pierwszy długi weekend. Mam sporo czasu dla siebie, nikt nie dostrzeże dymu z komina, nikt się nie zainteresuje. Wiem, że zauważą moją obecność, nie będę zacierać śladów. Napiszę list z podziękowaniem, zostawię trochę pieniędzy. Drewno przynoszę z lasu, nie chcę zużywać cudzych

zapasów. Mam jeszcze kilka tygodni, wiosna dopiero rozpełza się po halach pierwszymi kwiatami. Stół stoi przy oknie, patrzę na szarzejące góry i wracam do pisania.

W zamieszaniu pośmiertnym przejąłem zielonego pelikana, obiekt marzeń, wreszcie wolny, osierocony i bezbronny. Wyjąłem ze środkowej szuflady biurka i nic się nie stało. Nikt mnie nie nakrył, nie nakazał oddać bezprawnie zawłaszczonej rzeczy. Po prostu go wzięłem i długo trzymałem w dłoniach, przymierzałem, udawałem, że piszę, choć nie potrafiłem dotknąć stalówką kartki papieru. Wreszcie zabrałem go z gabinetu dziadka i schowałem do kieszeni. Tego samego dnia, przedzierając się między rozmowami dorosłych, wymknąłem się kuchennymi drzwiami na podwórko. Kucnąłem obok metalowych kubłów na śmieci, niedaleko trzepaka. Ostrożnie położyłem wieczne pióro na ornamentowanej mchem trylince, chwyciłem kamień i waliłem z całych sił, atrament tryskał, aż z pelikana zostały drzazgi. Resztę roztarłem po kamieniach. W tamtym miejscu podwórka przez kilka miesięcy pozostawała ciemna plama, póki deszcze i śniegi ostatecznie jej nie wypłukały. Tak zabiłem wspomnienie, tworząc nowe, wypełnione mieszaniną spokoju i furii.

#### Źródło piąte

Czuły reportażysta, który na nielegalnym wysypisku w podkrakowskich Świniowicach szukał materiału do książki o polskiej duszy, błądząc po przekreślonym strumieniem zagajniku, między wypatroszonymi lodówkami, łazienkowym gruzem, oponami i starymi wersalkami od miesięcy wrastającymi w runo i oplatanymi kolczastymi pnączami jeżyn i mackami bluszczu, zastygł nagle, gdyż sponad drzew dotarł do niego przerażający krzyk, ryk wydany przez tysiące gardeł, odbijający się echem od wzgórz, zagłuszający monotony szum

wiecznie zatłoczonej drogi krajowej numer siedem. Czuły reportażysta trwa, zastygły.

A przecież można zupełnie inaczej. Można pokazać zwykłe umieranie starego człowieka otoczonego rodziną, przejętą powagą śmierci, ale też czekającą na ten ostatni akord, który zakończy cierpienie, długą chorobę. Wtedy nie było opieki paliatywnej i na raka umierało się dużo gorzej niż dziś, choć nigdy nie umiera się dobrze, nawet w domu, nawet mając pozycję dziadka Tomasza i kilka ważnych numerów w notatniku. Kraj wokół transformował, nikt nie słyszał o hospicjach, prywatnych domach opieki, niektóre lekarstwa były luksusem, niektórych nie było wcale, trzydzieści lat to epoka, choć dla wielu powinna nastąpić jeszcze kolejna. Oby. Można próbować opowiedzieć dwuznaczną ulgę, kiedy już stało się jasne, że odszedł. Powolne przestawianie życia na nowe tory, nigdy te same co przed chorobą. Odjęcie codziennych obowiązków, które przyrastały przez ostatnie tygodnie, wymagając zaangażowania całej rodziny, dyżurów, grafiku i podziału ról. Życie, które przestawiło się na nowy tryb, kondensując się wokół umierającego, powoli musiało zacząć wracać do porzuconych i zaniedbanych wątków: pracy, rodziny, przyjaciół. I nie mogło wrócić od razu, bo trzeba było przejść przez wszystkie ceremonie, rozciągnięte w czasie, niedomknięte na cmentarzu, bo przecież testament, przepisywanie rachunków, porządkowanie rzeczy, powolne wymazywanie z życia tych wszystkich śladów, które pozostały. Co jest nieuniknione, gdyż poza kilkoma wspomnieniami i kilkoma ocalonymi z zagłady pamiątkami nic nie pozostaje. Garnitury do wydania, papiery do przejrzenia, dokumenty do zniszczenia, stare rachunki, nowe zapiski, czytelne, nieczytelne, potrzebne, niepotrzebne, co się może przydać, co może zaszkodzić, co warto ocalić, co należy zniszczyć. I na koniec wielkie

ognisko na podwórku kamienicy, stos teczek i listów, są rzeczy, które trzeba powierzyć płomieniom, płomień do pierwszego piętra, lokatorzy w oknach, jednak bardziej ciekawi niż oburzeni, zza zamkniętych szyb, bo dym gryzący, patrzą, jak uchodzi w górę czyjeś życie, bo przecież zakorzeniały się w rzeczach, pozostajemy w napisanych słowach, pozostajemy jakoś nawet w tych tylko przeczytanych, odłożonych na półkę, po prostu wrastamy w świat przedmiotów i trzeba nas z rzeczy wyrwać, a jak się nie da, to rzeczy zniszczyć razem z naszym śladem, nie wszystko można umyć i wyprać.

Co jest rzeką? Płynąca woda, ciągle w ruchu, ciągle zasilana przez dopływy i opady? Koryto, które niesie wodę i nadaje kształt nurtowi, ale jest też przezeń kształtowane, przesuwane, żłobione? A może styk jednego i drugiego, który wydarza się tylko przez chwilę, bo woda ciągle płynie, ale też trwa bez przerwy, bo zawsze jest jakaś woda? Gdzie kończy się brzeg rzeki? Tam, gdzie docierają fale nurtu, czy tam, gdzie mogą dotrzeć, kiedy roztopy lub letnie deszcze przeleją wodę z koryta w łożysko? Czy linia brzegowa to styk suchego i mokrego, czy może wszystko wilgotne w pobliżu: korzenie drzew, spulchniona ziemia, nasączone kamienie, piasek w zakolach i przybrzeżne łożyny?